

Epoka (post?)Trumpa [TPCT 240]

Wybory w Stanach Zjednoczonych są dobrym pretekstem, aby przejrzeć się bliżej bilansowi tych ostatnich lat, ale także spróbować się zastanowić, podług jakiego wzorca potoczy się historia po wyborach w państwie uchodzącym (jeszcze?) za światowego hegemon. Nieco parafrazując słynną frazę Klemensa von Metternicha – gdy USA kichają, cała Europa i świat dostaje kataru. Warto zadać pytania o stan zdrowia gwaranta obecnego porządku.

„We must become unpredictable” – głosił Donald Trump, przedstawiając główne linie swojej polityki zagranicznej w 2016 roku. Dziś nikt nie ma wątpliwości, że obietnicy dopełnił. Jednak z perspektywy 2020 roku właściwie trudno rozstrzygnąć, co było bardziej nieprzewidywalne – polityka nowojorskiego multimilionera czy historia, która jak to zwykle bywa – przeszła z boku. 3 listopada odbędą się wybory, które osądzą kadencję obecnego prezydenta i też pokażą perspektywę na przyszłość. Niezależnie od tego, kto ją wygra, mamy za sobą kadencję Trumpa, która wyznaczać będzie zapewne w historii tego państwa nową cezurę – zarówno ze względu na poważne przemiany nastawienia samego społeczeństwa amerykańskiego, jak i ze względu na rosnące napięcia uwidaczniające się już nie tylko na regionalnych płytach tektonicznych, ale w skali globalnej.

Opisanie tego, co wpłynęło na zmianę, która dokonała się w Stanach Zjednoczonych cztery lata temu, jest zadaniem trudnym i wielu na nim poległo. Można odnieść wrażenie, że większość zawodowych

politologów i komentatorów politycznych była cokolwiek zaskoczona wzrostem Donalda Trumpa w polityce amerykańskiej, jakby nie odczuwając zmian, które zachodziły od jakiegoś czasu pod powierzchnią. Być może bardziej uważna lektura Arystotelesa pozwoliłaby im docenić i wychwycić zjawisko polityczne, które Stagiryta prezentuje w V księdze *Polityki*: konfliktu frakcyjnego, który często niszczy politykę miasta. Według Arystotelesa konflikt frakcyjny wynika ze sporów o równość i nierówność: „jedni upośledzeni burzą się, aby dojść do równych praw, inni mając równe prawa podnoszą się, aby zdobyć większe” i jak dodaje Arystoteles: „w oligarchiach (...) porywają się do powstania masy, które odczuwają to jako krzywdę, że nie posiadają praw równych, mimo, że są równe innym”. Co ciekawe, pewnie można by sięgnąć także do znacznie bliższego naszym czasom Tocqueville’a, który uważał, że naród powinien kultywować swoją własną, szczególną tożsamość, a więc i Stany Zjednoczone, a także idee stawiania samorządności i bezpieczeństwa obywatelskiego na pierwszym miejscu. Można powiedzieć, że zapowiedź polityczna Donalda Trumpa wpisała się w to poważne przesilenie.

Niespokojne czasy, które już dawno pożegnały się z wyświechtanym sloganem „końca historii”, zaczęły trzeszczeć w sposób coraz bardziej słyszalny

Jednak nie tylko Ameryka po dwóch kadencjach Baracka Obamy miała poważne wewnętrzne tarcia, które osłabiły *status quo* ugruntowanej tam demokracji

liberalnej. Sytuacja międzynarodowa, geostrategiczna również zaczynała uciekać z pudełka o nazwie „niezachwiany progres i pokojowe współistnienie”. I nie chodzi o jedynie „klasyczne” tarcia w

regionie Bliskiego Wschodu, ale realne zmiany w całej architekturze bezpieczeństwa i ładu globalnym, które uwidoczniły się następnie w Brexitcie, czy wchodzącym w nowy etap chiński projekt zakwestionowania porządku światowego. Niepokojne czasy, które już dawno pożegnały się z wyświechtanym sloganem „końca historii”, zaczęły trzeszczeć w sposób coraz bardziej słyszalny. Całość tych zjawisk domagała się innego rodzaju przywództwa, którego beneficjentem stał się Trump.

Oczywiście z perspektywy końca jego pierwszej (i ostatniej?) kadencji możemy przejrzeć się, jak wiele zmieniło się właśnie w przestrzeni polityki międzynarodowej. Przede wszystkim stosunki bilateralne i porzucanie wielkich umów, które stały się niemal sygnaturą poprzednika. Dodatkowo napięcia z Koreą Północną, które ostatecznie przerodziły się w ożywione i nie do końca jasne relacje z Kim Jong Unem (30 czerwca 2019 roku Trump został pierwszym prezydentem USA, który stanął w Korei Północnej). Dalej, zakwestionowanie konsensusów i organizacji, takich jak porozumienie klimatyczne z Paryża, Rada Praw Człowieka, czy ostatnio WHO. W sferze symbolicznej: uznanie oficjalnie przez USA Jerozolimy za stolicę Izraela, napięcia w Syrii (pokonanie IS) wraz z poważnymi tarciami z Iranem i Turcją (sic). Próba redefinicji NATO, sankcje na projekt Nord Stream, de facto uznanie Tajwanu i zerwanie z uznawaniem polityki „Jednych Chin” oraz skalowanie czy też uwypuklanie poważnych napięć na linii Waszyngton-Pekin (z wojną handlową łącznie). To właśnie z Chinami USA wkroczyły już w rywalizację, która niemal zaczyna wpisywać się klasyczny opis pułapki Tukidydesa.

To jedynie migawki, które obrazują pewne kierunki w zachodzące w świecie w sposób coraz bardziej jawny, a które w sposób głębszy ukazują zarówno poważne procesy toczące się w społeczeństwach

liberalnych, jak i w sferze globalnej. Wybory w Stanach Zjednoczonych są dobrym pretekstem, aby przejrzeć się bliżej bilansowi tych ostatnich lat, ale także spróbować się zastanowić, podług jakiego wzorca potoczy się historia po wyborach w państwie uchodzącym (jeszcze?) za światowego hegemonu. Nieco parafrazując słynną frazę Klemensa von Metternicha – gdy USA kichają, cała Europa i świat dostaje kataru. Warto zadać pytania o stan zdrowia gwaranta obecnego porządku.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego